

SŁOWAK

CZASOPISMO KULTURALNO - LITERACKIE

NR 10, WRZESIEŃ 2019



*Uniwersyteckie I Liceum Ogólnokształcące
im. Juliusza Słowackiego
ul. Dąbrowskiego 36, Chorzów*

Drodzy Czytelnicy!

Po słonecznych, pełnych niesamowitych przygód wakacjach nastał wrzesień, a wraz z nim nowy rok szkolny. Uczniowie przygotowują zeszyty, kupują podręczniki i wyciągają krawaty z głębokiego dna szuflady. Jednakże ten czas jest szczególnie wyjątkowy, ponieważ rozpoczynamy go wydaniem okrągłego, dziesiątego już numeru czasopisma kulturalno-literackiego SŁOWAk! Jesteśmy ogromnie wdzięczni za wszystkie nadesłane prace i cieszymy się, że chcecie dzielić się z innymi Waszym talentem. Kornel Makuszyński powiedział kiedyś: „Człowiek wędnie bez dobrej książki i bez słonecznej jej iluzji, bez przeczystej jej poezji i bez śpiewu jej serca, jak wędnie kwiat bez słońca”. Mamy nadzieję, że wszystko to, co opublikowaliśmy w nowym numerze naszego czasopisma, będzie dla Was inspiracją i nie pozwoli Wam „zwiędnąć” w nadchodzącym burzliwym czasie szkolnych wyzwań.

W tym numerze znajdziecie wiersze Karoliny Grzesik, które poruszają jakże ważną tematykę relacji międzyludzkich i przyszłości człowieka na Ziemi. Jakub Paczula prezentuje utwór o intrygującym tytule „dwapłusbezametyst”.

W dziale „Proza” Marta Banaś zaprasza do odwiedzenia cieszyńskiej kawiarnio-księgarni, a Espantajo ukazuje inne oblicze szkolnych korytarzy. Maria Smorczewska zastanawia się, dlaczego tak często radykalizujemy nasze poglądy i widzimy otaczający świat w czarno-białych barwach.

W tym numerze można przeczytać również wywiad z Martyną Zimek, uczennicą naszej szkoły, która właśnie wróciła z rocznej wymiany w Meksyku. Zaś Karolina Kisiel dzieli się z nami wrażeniami z wakacyjnego pobytu w ramach wymiany Erasmus w przepięknej Grenadzie.

Edyta Fragsztajn spisała na papierze swoje przemyślenia po lekturze biografii zespołu Pink Floyd, a Kacper Łukowicz zachęca do rozwiązania zagadki morderstwa – odpowiedzi wraz z uzasadnieniem wysyłajcie na adres slova_k@wp.pl. Jesteśmy oczywiście też dostępni na facebook'u!

Życzymy wielu wrażeń!

Redakcja

Projekt okładki i grafika: Katarzyna Kleist

Zespół redakcyjny:

Redaktor naczelna: Marta Banaś

Zastępca redaktora: Kacper Łukowicz

Opiekun redakcji: Damian Straszak

Korekta: Jolanta Cieczota

Dziennikarze: Anna Kern, Agata Maćkowska, Maria Smorczewska, Tomasz Pycik,
Radosław Mosór

Ilustracje: str.6 A.Bedlicka, str.15 K.Kleist

Spis treści

Poezja

Karolina Grzesik

Heartbreak (str.5)

Przyszłość (str.5)

Słowo-po-słowie (str.6)

Jakub Paczula

dwapłusbezametyst (str. 7)

Proza

Marta Banaś

Coś dla mola książkowego

(str. 9)

Espantajo

*‘Nic mi w tej szkole nie wychodzi
tak dobrze, jak chodzenie
do niej’.* (str.11)

Maria Smorczewska

Myślę więc jestem (str.14)

Reportaż

Marta Banaś

*Wywiad z uczestniczką
Programu Rotary Exchange,
uczennicą Słowaka -
Martyną Zimek* (str. 17)

Varia

Edyta Fragsztajn

*Jesteśmy tylko cegielką
w murze?* (str. 21)

Kacper Łukowicz

Zagadka (str. 24)

Karolina Kisiel

Grenada w pigułce (str. 28)

POEZJA

Karolina Grzesik

heartbreak

Ty miałeś nie złamać jej serca
obiecałeś nie niszczyć
nie kruszyć delikatnego szkła
teraz nikt jej nie uratuje
rozpadła się z taką łatwością jak
zakochała w tobie

słowo po słowie

Jesteś moją sensacją
Poszukuję nagłówków aby opisać twoje
piękno
Czytam wers za wersem
Powoli uczę się ciebie
Linijka po linijce
Odkrywam cię na nowo
Każda oddzielna litera to coś innego
Nie można cię tak łatwo streścić
Będę pisać piosenkę po piosence
Tekst za tekstem
Wszystko byś nie czuła się zapomniana
Po co marnować głos
Skoro druk odpowie na wszystkie nasze
pytania
Zapiszmy puste kartki
Po to wynaleziono pismo

...przyszłość

zadaj sobie pytanie
czy jest dla ciebie pierwszym promieniem słońca
ostatnim wdechem przed zanurzeniem się pod wodę
światłem w ciemnym tunelu
skradzionym tchnieniem wiatru
pierwszą iskrą rozpalającą ognisko
kolejnym krokiem przybliżającym cię do celu
kroplą wody wypływającą ze źródła
obłokiem na błękitnym niebie
liściem który z gracją spada z drzewa
załążkiem korzenia
jaśniejącą gwiazdą
głośnym miauczeniem kota
skrzypieniem zardzewiałych drzwi
nie musi być wszystkim
nie musi być początkiem
ważne żeby była końcem
nie musi być przeszłością
ważne żeby była terażniejszością i przyszłością



Jakub Paczula

dwaplusbezametyst

Wyszedł na pole gargantuiczny skrzat
Rzuca tylko okiem i rzuca pomidorem
Humanoidalny skrzek słyhać zza krat
Księżyc najjaśniejszy ciemnym wieczorem
Podchodzi doń czort z dwoma wieściami
Spowodowany musi wybrać dobrą lub złą
Instynkt i hormony poruszają kośćmi
A oczy uciekają przed zdradziecką mgłą
Na wiosce jest wojna pod flagą purpury
Ci inni tylko do niej praw se roszczą
Strach obleciał myszy i dżumy szczury
Jakie zabobony po wiktorii zagoszczą?
W oczach konsternacja i topielce utopii
Bierze się w garść, w garści też gład
Mleko za dwa zyla oraz majtki z konopi
"Kijanki to jedno, ale płaz to płaz"
Okrzyk tryumfalny, w b-dur skryta siła
Jego imię to czterdzieści i trzy, i pół
Choroba francuska - wolność tudzież kiła
Jeśli się urodzisz, to skończysz jak wół

PROZA

Coś dla mola książkowego

Marta Banaś

Drogi Czytelniku, jeżeli kiedykolwiek zastanawiałeś się czy istnieje miejsce, w którym poczujesz się jak w zaczarowanej krainie, gdzie zewsząd otoczony będziesz najróżniejszymi książkami, starociami, a gorące napoje i wyśmienite wypieki umilą Ci czas, to koniecznie przeczytaj ten artykuł. Podczas moich wędrówek po Beskidzie Śląskim odkryłam wyjątkową kawiarnię, a zarazem księgarnię. Przestrzeń, którą każdy mól książkowy zdecydowanie powinien odwiedzić... lecz zacznijmy od początku...

Cieszyn - miasto w południowej Polsce przy granicy z Czechami, które nie bez powodu jest stolicą powiatu cieszyńskiego. Atrakcyjny wygląd historycznego centrum z malowniczym rynkiem i wieloma zabytkami (między innymi romańską Rotundą z XVI w., szesnastowieczną Wieżą Piastowską czy Pałacem Myśliwskim Habsburgów z XIX w.) dają Cieszynowi szerokie perspektywy rozwoju turystycznego. To właśnie w tym miejscu, w jednej z urzekających bocznych uliczek, znajduje się kawiarnio-księgarnia pod zaskakująco intrygującą nazwą *Kornel i przyjaciele*. Nasuwa się pytanie: Kim był tytułowy Kornel? Aby poznać odpowiedź, musimy przenieść się w czasie do roku 1913, kiedy to w Tarnopolu urodził się przyszły polski powieściopisarz, poeta a zarazem scenarzysta - Kornel Filipowicz. Swoje dzieciństwo i młodość spędził w Cieszynie, gdzie uczęszczał

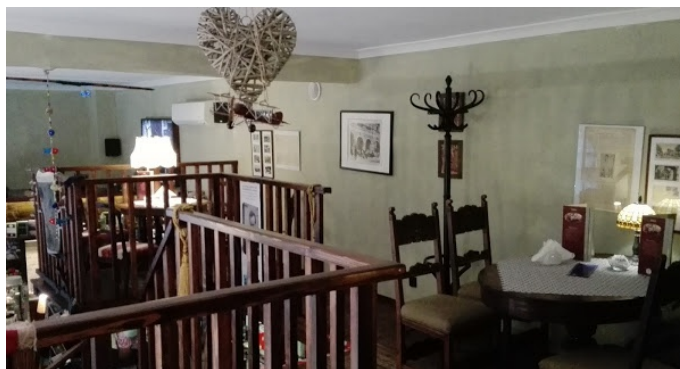
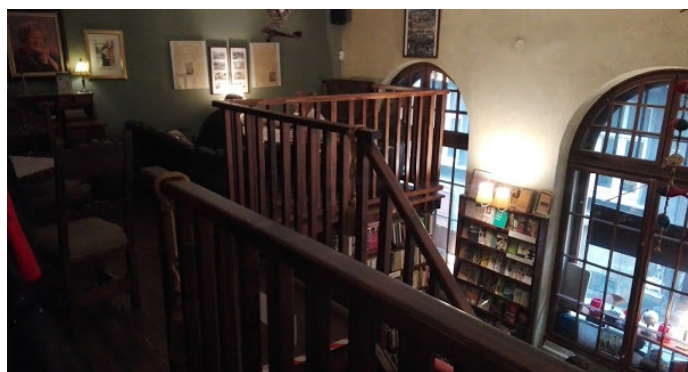
do szkoły podstawowej, a później gimnazjum. Należał do grupy młodych cieszyńskich literatów działających pod kierunkiem Juliana Przybosia. W latach 50. i 60. Kornel Filipowicz i bracia Różewiczowie często wspólnie pracowali nad scenariuszami, dlatego też w tym miejscu chciałabym przywołać słowa Stanisława Różewicza, który wspominał: *Każde spotkanie z Kornelem sprawiało, że zwykła godzina, szary dzień nabierały barwy i wyrazistości. Kiedy dziś chcę spotkać przyjaciela, sięgam po jego opowiadania. Jest w nich - szukający prawdy, pochylony nad rzeką czasu, tajemnicą świata, naturą człowieka.*

Uważam, że te słowa idealnie opisują atmosferę panującą *U Kornela*. Jest to jedno z tych miejsc, którego przestrzeń jest zaaranżowana w taki sposób, aby wędrowiec mógł się wyciszyć, przeczytać dobrą książkę i być może poszukać artystycznej inspiracji. Liczne obrazy, zabytkowe maszyny do pisanie i stare meble zwracają uwagę każdego



odwiedzającego, nadając zarazem uroku całemu wnętrzu. Dużą popularnością cieszy się również drewniana antresola, strefa wydzielona z głównej powierzchni lokalu, z urokliwymi stolikami i przepięknymi starodawnymi lampami przypominającymi o minionych czasach. Bez wątpienia jest to kafejka z niezapomnianym klimatem, dlatego warto wygospodarować chwilę w bieganinie dnia codziennego i odwiedzić Kornela - spotkać się z przyjaciółmi czy też samotnie pożyć w świecie książek, poczuć magię tego miejsca.

Wnikliwy obserwator szybko zauważy, iż wśród licznych obrazów zdobiących ściany przeważają zdjęcia oraz fragmenty wierszy polskiej noblistki Wisławy Szymborskiej. Tak, w tym miejscu nie można pominąć tej postaci. Przez długie lata Kornela Filipowicza oraz Wisławę Szymborską łączyła niezwykle silna relacja. Choć ich związek nie był dla nikogo tajemnicą, ona sama nigdy nie napomykała o nim nawet publicznie. Po śmierci



Filipowicza w 1990 roku w wywiadzie dla niemieckiej telewizji wyznała: *Byliśmy ze sobą 23 lata. Cudowny człowiek, świetny pisarz. Nie mieszkaliśmy razem, nie przeszkadzaliśmy sobie. To byłoby śmieszne: jedno pisze na maszynie, drugie pisze na maszynie... Byliśmy koźmi, które cwałują obok siebie. Po otrzymaniu nagrody Nobla Szymborska w rozmowie z Janem Pieszczachowiczem, publicystą i dziennikarzem, z właściwą sobie skromnością wyznała: Szkoda, że Kornel nie może tego zobaczyć. Dla mnie byłoby to coś więcej niż oficjalne splendory. To on powinien dostać jako prozaik wielką nagrodę. Możemy tylko spekulować w jak dużym stopniu pisarka ceniła Kornela.*

Mam nadzieję, że po przeczytaniu tego artykułu zachęciłam Cię, drogi Czytelniku, do odwiedzenia tej cieszyńskiej kawiarnioksięgarni. Ja staram się tam bywać co roku, za każdym razem odkrywając to miejsce na nowo, zauważając coś pięknego i wyjątkowego. Nigdy nie wracam rozczarowana.

Nic mi w tej szkole nie wychodzi tak dobrze, jak chodzenie do niej!

Espantajo

„Nic mi w tej szkole nie wychodzi tak dobrze, jak chodzenie do niej”.

Takie sformułowanie usłyszałem po wyjaśnieniu zastosowania prawa szkolnego w przypadku usprawiedliwiania absencji. O fragmenty statutu przyszła wypytać uczennica klasy maturalnej. Owo zdanie zapewniło mi dobry początek dnia. Nie musiałem już pić kolejnej kawy. Nawet krzywo zawiązane krawaty wiszące na szyjach niektórych uczniów niczym chomąto na cherławej kobyle i temu podobne zjawiska nie były w stanie zepsuć mi najbliższych godzin. Słowa opadły jak kurz po wybuchu (bitwy nie było) - w tym wypadku chodziło o wybuch, istną eksplozję śmiechu – i przyszło zastanowienie:

„E, a może to nie jest śmieszne?”. Stuprocentowa frekwencja stanowi jednak osiągnięcie. Ilu znacie uczniów mogących się pochwalić takim sukcesem? He? Niewielu. A tu proszę! Da się? Da się! Może nie wszyscy dadzą radę: choroby, pogrzeb dziadka kolegi z przedszkola, a w przedszkolu mieliśmy wielu kolegów, etc., nieczynna komunikacja miejska albo wredny kierowca, który zamknął nam drzwi przed nosem, korki na drogach, zepsute budziki, chomik, którego trzeba było reanimować, bo go kot z myszą pomylił...

No i jeszcze obowiązkowe spotkania z ministrem, wiceministrem, prezydentem, a przecież umiejętność bilokacji opanować trudno. Jednak do szkoły s i ę c h o d z i. I tutaj

można by opowiedzieć o różnych priorytetach i celach, które stawiają sobie przemierzający wzdłuż i wszerz korytarze naszej Szkoły.

Wielokrotnie słyszałem, że Słowak, jego uczniowie, nauczyciele, absolwenci są „jacyś dziwni”, wręcz „nienormalni”. Opinie te oparte były o obserwacje wracających co chwilę do szkoły absolwentów, uczniów przychodzących do szkoły w soboty i niedziele, uczestników zajęć pozalekcyjnych trwających do wieczora, nauczycieli, którzy te zajęcia prowadzą społecznie czy spotykają się ze swoimi licealistami nawet w wakacje i starają się pomóc w pracy twórczej czy naukowej. Wielu postronnych obserwatorów zdumiewają również wyjazdy szkolne organizowane w dni wolne od zajęć. Totalne zaskoczenie wywołała wizyta pierwszoklasisty, który pewnego pięknego wieczoru odwiedził jednego z profesorów w domu i wręczył mu „pamiątki” z podróży do Belgii. Kolejnym razem w towarzystwie presympatycznej koleżanki wpadł w krótkie odwiedziny z ciastem. Inny pierwszak wypatrzył podczas wakacji nauczyciela w centrum Katowic i podbiegł z pytaniem czy może go przytulić, „bo się stęsknił”. Opowieści o takich intrygujących sytuacjach można by snuć bardzo długo. Zatem nasuwa się pytanie (Tak pytanie się „nasuwa”, nie „zachodzi”, ponieważ zachodzi słońce albo autobus „przy skręcie”.): „Droga

społeczności (...) najlepszej szkoły w południowej Polsce, a w przyszłości w Unii Europejskiej”¹, może rzeczywiście nie jesteście normalni?

Bezspornie Szkoła sprzyja nawiązywaniu trwałych przyjaźni, lecz i do tego potrzebne jest *c h o d z e n i e d o n i e j*. Udaje się również utrzymywać atmosferę przyjazną zdobywaniu wiedzy. Jest to miejsce, w którym można dobrze się uczyć i przy tym bawić. Choć niektórzy wolą zmienić szyk poprzedniego zdania na „dobrze się bawić i przy tym uczyć”. Historia zna sporo takich przypadków...

Pierwszy przez myśl przeszedł mi duet występujący razem od pierwszej klasy gimnazjum do trzeciej liceum. Dwójka uczniów klasy hiszpańskiej, którzy z hiszpańskim mieli nie po drodze. Na lekcjach bawili się świetnie, przy tym zapewniali niemalą rozrywkę pozostałym uczestnikom zajęć, a nauczyciela doprowadzali do łez (ze śmiechu niekiedy płakali wszyscy). Problemy pojawiały się pod koniec semestru. Drogi czytelniku, zapewne domyślasz się, jakie? Pewnego razu ów duet postanowił przygotować na „Dzień Hiszpański” stoisko z tapas. Zaskoczenie było niemałe. W korytarzu najpierw rzuciły się w oczy plakaty przedstawiające owych „hispanistów” z podpisem „Marcheweczki”. Na stoisku można było kupić marchewki, które panowie obierali na życzenie. Jeden ze wspomnianych uczniów poproszony na obozie językowym o opis cmentarza, odpowiedział, że jest spoko. Drugi z nich stwierdził, że bunkry są przystojne. W pokoju na miejscu obrazów powiesili wiaderka, lustro ustawili na zlewie, a w przedpokoju na ścianie zawisła łopata służąca do zamiatania podłogi, z której

można było częstować się cukierkami. Szczęśliwie udało się dobrać do końca tak wycieczki, jak i nauki w murach Słowaka. „Marcheweczki” to zapewne przedstawiciele grupy uczniów wyznających zasadę: „Dobrze się bawić”... i *c h o d z i ć d o s z k o ł y*.

Podobne podejście do szkoły może przebijać się z niektórych dialogów:

- Proszę o zwolnienie z jutrzejszych zajęć.
- Dlaczego?
- Nooo, sprawy rodzinne.
- Jakież?
- Mam urodziny.
- Nie było cię dziś na lekcjach. Dlaczego?
- Nie byłem w szkole, bo musiałem się uczyć – to moje ulubione.

Ciągle jeszcze uśmiech wywołuje młodzież, która cieszy się z dwóji (dopuszczający, dopalacz itp.), jakby otrzymali informację o przyznaniu im Nagrody Nobla.

Spora grupa słowakowej młodzieży uczy się dobrze, realizuje się, rozwijając swoje zainteresowania i udoskonalając umiejętności oraz dobrze się przy tym bawiąc. Powstają kolejne filmy, teksty, utwory muzyczne itd. Efekty pracy są widoczne jeszcze w liceum, na studiach, w dorosłym życiu chyba też. O takich mniejszych i większych sukcesach naszych absolwentów już pisałem, ale regularnie dowiaduję się o kolejnych, których na razie nie będę opisywał, chociaż wspomnę pewien incydent, który dowodzi, że do Słowaka, nabytych w nim umiejętności i poznanych ludzi dobrze się wraca.

Na początku lipca tego roku dostałem SMS-a od rodzica absolwentki Słowaka. Ów rodzic również spędził kilka lat w jego murach. Treść wiadomości przemila, miód na uszy (w tym wypadku chyba na oczy): „Dzień

dobry. Jako matka zmuszana każdego ranka do wysłuchiwania wiadomości w języku hiszpańskim (dzisiaj o ośmiornicach i nieloljalnych rybakach włoskich), najserdeczniej pana pozdrawiam”.

Do Szkoły chętnie się wraca. Nawet w oczekiwane przez dziesięć miesięcy wakacje, bo też w wakacje zaczynamy myśleć o tym, co by tu zrobić w kolejnym roku szkolnym. Rodzą się projekty, pomysły, plany, podpisy, druki. Co ciekawe, niektórych uczniów podczas wakacji widzę w szkole równie często jak podczas roku szkolnego. „Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?”.

Zatem Droga Społeczności Słowaka: Czy jesteśmy nienormalni? „Wszyscy mamy złe w głowach?” Nawet jeżeli tak jest, to co z tego? Komentarz pod jednym z filmów studniówkowych głosi: „Korzystajcie z ostatnich chwil luzu w życiu. Pójdziecie na studia, to dowiecie się, co to jest nauka. Tęsknie za Słowakiem! SUPER SZKOŁA Z DUSZĄ i CHARAKTEREM! Cieszę się, że ją skończyłem”(absolwent 2012 o poglądach zbliżonych do wspomnianych już „Marchewczek”).

- Jak to? Szkołę można lubić? – dziwią się ludzie, bo niewiele jest takich szkół,

do których chce się chodzić.

Andrzej Sapkowski napisał, że „lepiej zaliczać się do niektórych, niż do wszystkich”², a José Ortega y Gasset porównywał Amerykanów twierdzących, że być innym, to być nieprzyzwoitym³ do barbarzyńców. Bardziej nienormalne zachowania i zjawiska niż te, które można zaobserwować w szkole, pojawiają się gdzieś indziej... tak codziennie, banalnie, ale jakże irytująco! Wcale nie trzeba się r o z g l ą d a ć. Za to będzie wspaniale, jeżeli nauczyciele nie będą musieli r o z g l ą d a ć się po sali w poszukiwaniu osób, które być powinny, ale jakoś ich nie ma.

Zatem życzę Wam determinacji, sił, wytrwałości, sprawnych budzików i niewielu korków na drogach, a także wielu sukcesów, abyście nie musieli martwić się, że „nic Wam w szkole nie wychodzi tak dobrze, jak chodzenie do niej”.

¹ Cytat z filmu pt. „Była tu 15 minut temu – Słowak” (YT)

² „Krew elfów”

³ „Bunt mas”

Myślę, więc jestem

Maria Smorczewska

Ostatnio na ulicy jednego z polskich miast usłyszałam zdanie: "A ty jesteś wrogiem czy zwolennikiem?". To jedyne co zdołałam zapamiętać, więc nie znam kontekstu i na dobrą sprawę nie wiem, czego "zwolennikiem" lub "wrogiem" miałyby dana osoba być.

A jednak, kiedy kilka dni później, słysząc rozmowy ludzi w moim otoczeniu, przypomniałam sobie tamto zdanie, nagle zdałam sobie sprawę, że ta krótka, wyrwane zapewne z dłuższej tyrawy pytanie, było kontekstem samo w sobie...

Często mówi się, że społeczeństwa europejskie stają się w dzisiejszych czasach coraz bardziej podzielone. Debaty nad przyczynami powyższych zjawisk trwają. Nie raz o taki stan rzeczy obwinia się mnogość autorytetów, zmiany wynikające z globalizacji czy migracje ludności.

Może dlatego, że przyszedł na świat w czasie, kiedy wszystkie z wyżej wymienionych spraw były już bardzo powszechne, nie zastanawia mnie samo zjawisko społecznego podziału, a raczej jego forma. To, jak podchodzimy do istniejących już opinii i kreowania własnego zdania. Już młodzi ludzie, którzy dopiero co wkraczają w swoje dorosłe życie, mają określone zdanie, często już na każdy temat. Z jednej strony nie ma w tym nic dziwnego: rodzina i środowisko, w którym dorastamy, ma na nas ogromny wpływ. Jednak mnie osobiście dotyka coś

innego. Trudno mi wyjaśnić pochodzenie tego zjawiska, ale im jestem starsza, tym silniejszą presję odczuwam w związku z propagowaniem i wyrażaniem moich poglądów i przekonań. Wszystko jest właściwie w porządku, ale dostrzegam jeden problem: nie w każdej kwestii jestem w stanie określić, co tak właściwie myślę. I nie mówię tu tylko o rzeczach, o których z racji np. młodego wieku nie mam szans mieć jakiegokolwiek pojęcia. Nie, chodzi o fundamentalne sprawy, związane często z religią, przekonaniami czy wartościami, które wyznaję. Nie mieć zdania na taki temat? Łatka ignorancji i niedojrzałości gotowa.

Nikt nie chce być tak postrzegany. Może właśnie dlatego często radykalizujemy nasze poglądy? Może czujemy się bezpieczniej zajmując silną pozycję podpartą utartymi autorytetami? W końcu silniejsi czujemy się w grupie, określamy się, przytakuując opiniom innych, a odchylenie od tej normy jest jawnie krytykowane. "Kto nie z nami, ten przeciwko nam".

Tylko nie zawsze i nie w każdym temacie trzeba od razu stanąć po którejś ze stron. Może oprócz kwestii fundamentalnych, w których nie uznajemy kompromisów, mamy szerokie spektrum takich, dla których dyskusja byłaby wręcz wskazana? Może nie trzeba się polaryzować, można poczekać z wydawaniem sądów i zbierać doświadczenia na różny temat. Może

twierdzenie, że ile dyskutujących, tyle opinii, nie jest bezpodstawne? Nie jesteśmy w stanie patrzeć w oczy komuś, kto lubi inną kuchnię? Inaczej się ubiera? Czy za każdym razem jest to personalny atak na nasze przekonania, że aż musimy się przed tym tak zawzięcie bronić?

Niestety nie znam odpowiedzi na te pytania, ale mam przeczucie, że nie na każde pytanie trzeba odpowiadać od razu. Może trzeba się zastanowić, przeżyć coś, żeby nasze zdanie było naszym własnym, a nie podpisem powielanym pod dziełem kogoś innego.



REPORTAŽ

Wywiad z uczestniczką Programu Rotary Exchange, uczennicą Słowaka - Martyną Zimek

Marta Banaś

Dlaczego zdecydowałaś się pojechać na roczną wymianę do kraju leżącego poza Europą?

Na pewno dlatego, że chciałam zobaczyć coś zupełnie innego, całkowicie nowego dla mnie. Przyznam szczerze, że dzięki moim rodzicom zwiedziłam już większość krajów europejskich, dlatego zdecydowałam się pojechać na inny kontynent. Myślę, że Stany Zjednoczone są podobne do Europy. Będąc w Meksyku, zauważa się subtelne różnice. Cała Ameryka Środkowa i Południowa wydają się bardzo intrygujące.

Dlaczego akurat Meksyk?

Myślę, że ze względu na język hiszpański, gdyż uczyłam się go przez cztery lata i nie chciałam zaprzepaścić szansy na kontynuowanie mojej nauki. Mogę szczerze powiedzieć, że biegle mówię po hiszpańsku.

Nie wybrałaś też Argentyny, Panamy czy Kolumbii...

Meksyk zauroczył mnie swoją kulturą. Kiedy myślałam przed wymianą o rzeczach charakterystycznych dla tego kraju bez problemu mogłam kilka wymienić. Inaczej było z Wenezuelą czy Kolumbią, nie miałam takich skojarzeń.

Co było dla Ciebie największym pozytywnym i negatywnym zaskoczeniem w kulturze meksykańskiej?

Największym pozytywnym zaskoczeniem było definitywnie jedzenie. Generalnie

przed wymianą byłam trochę „Tadkiem Niejadkiem” i moja mama zawsze gotowała dla mnie inne obiady niż dla reszty rodziny, dlatego kiedy pojechałam do Meksyku, to zostałam rzucona na głęboką wodę. Moja host rodzina gotowała dla całej rodziny i musiałam jeść dokładnie to, co oni. Nie mogłam narzekać, że czegoś nie lubię – jadłam bardzo dużo mięsa przyrządzanego na ostro. Były też inne pikantne specjały, za którymi bardzo tęsknię, bez zawahania pokusiłabym się teraz na jakieś tacos albo prawdziwą meksykańską quesadillę. To jest jedno z najbardziej pozytywnych wspomnień, pomimo mojego początkowego sceptycznego nastawienia.

Jeżeli chodzi o negatywne doświadczenie, to definitywnie samodzielność. Tam samodzielność rozumiana jako na przykład spędzanie czasu wieczorami poza domem przed 18, a nawet 24 rokiem życia jest praktycznie niemożliwa. Rodzice osaczają Cię z każdej strony, martwią się o Ciebie, ponieważ jest bardzo niebezpiecznie. Komunikacja miejska przykładowo istnieje, ale korzystają z niej osoby najbiedniejsze, często „na bakier” z prawem i dlatego robi się niebezpiecznie dla innych. Jeżeli jesteś z innego kraju, korzystanie z miejskiej komunikacji jest utrudnione, każdy cały czas Cię obserwuje, co zniechęca do jakichkolwiek wycieczek. Poza tym w nieklimatyzowanym autobusie, w którym temperatura dochodzi do 40 stopni, gdzie wszyscy podróżują w „ścisku”, zdecydowanie nie jest przy-

jemnie. Brakowało mi tam bardzo samodzielności, bo tutaj w Polsce mamy autobus pod praktycznie każdym domem - dwie minuty i jestem na przystanku, dwadzieścia minut i jestem u mojej przyjaciółki. Tam trzeba prosić o pozwolenie na wyjście. Nieważne, że zawsze się spóźniają - i tak będą pytać, od której i do której cię nie będzie, co osobiście mnie bardzo denerwowało, bo lubię zmieniać plany w trakcie ich realizacji.

Czy w ciągu całego roku poza Polską miałaś „chwile zwątpienia”? Czy pojawiały się sytuacje, po których chciałaś wrócić ?

Były takie sytuacje. Pojawiało się ich wiele podczas całego roku. Myślę, że sytuacje te pozwoliły mi lepiej poznać samą siebie. Wcześniej myślałam, że nie płaczę z byle powodu, lecz tam były silniejsze ode mnie. Po trzecim miesiącu mojego pobytu, czyli był to przełom października i listopada, miałam bardzo zły tydzień – prawie nie wychodziłam z domu. W mojej głowie pojawiała się myśl, że minęły już trzy miesiące, jestem tam tak długo, potrafię mówić po hiszpańsku, a jednak przede mną jeszcze święta Bożego Narodzenia, których się strasznie bałam. Na szczęście okazały się nie być takie tragiczne, jak początkowo sobie wyobrażałam. Tęsknota oczywiście wielokrotnie się pojawiała, były takie momenty, że nie miałam ochoty na nic, ale moja host rodzina była bardzo przychylna, zawsze mi pomagali i przytulali, kiedy tego potrzebowałam. Moja host mama jest najukochańszą osobą, jaką tam poznałam, zawsze mogłam popłakać w jej ramię. Natomiast mój host brat zabierał mnie na różne imprezy, żebym przestała płakać albo ewen-

tualnie płakał ze mną. Podczas całej mojej wymiany nie czułam się samotna, niechciana – każdy mnie wspierał. W tym wszystkim zaważyła tęsknota za Polską, za rodziną, czasami nawet za szkołą.

Jak Meksykanie obchodzą święta Bożego Narodzenia czy Wielkanocy? Czy ich zwyczaje są podobne do naszych ?

Wiadomo, że wszystko zależy od rodziny, w jakiej święta spędzamy i oczywiście miejsca, bo każdy region Meksyku jest kompletnie inny. Zacznę od tego, że niestety, ale my Polacy nie potrafimy się bawić. Tam każde święto – nawet Święto Zmarłych – jest obchodzone bardzo pozytywnie.

Podstawą wszystkiego są relacje międzyludzkie, a nie to czy mamy dwanaście potraw na stole albo jajko na święconkę. Moje święta Bożego Narodzenia spędziłam na wsi, nie było tam dosłownie nic, może oprócz trzydziestu osób z rodziny mojej mamy (śmiej). I o to właśnie chodziło, o wspólne rozbicie piniaty, śpiewanie kolęd na ulicy ze świecą i czteroskładnikową kolację. To wszystko pozwoliło mi czuć się tam jak w domu i - o dziwo - w tym „krytycznym momencie wymiany” nie tęskniłam tak bardzo za ojczyzną, jak myślałam. Może jeszcze wrócę do Święta Zmarłych, które zrobiło na mnie największe wrażenie. Nie potrafię uwierzyć, że nawet w tak nostalgicznych momentach, Meksykanie jedzą, przebierają się, tańczą i robią kolorowe ołtarze wspominając swoich nieżyjących już bliskich.

W Meksyku religia ma ogromny wpływ na życie ludzi, lecz prawie wcale nie świętują Wielkanocy. Niektórzy chodzą do kościoła podczas Wielkiego Tygodnia i w kilku regionach obchodzą Niedzielę Palmową, ale moja rodzina na przykład traktowała ten

czas jako dzień wolny od pracy, a na śniadanie wielkanocne jedliśmy tacos.

Jakie dostrzegasz różnice pomiędzy szkołą polską a meksykańską ?

W szkole nie robiłam za dużo rzeczy... oprócz może spania (śmiej) albo oglądania filmów. Raczej traktowałam to jako rozrywkę, ale nawet jeżeli miałabym wykonywać te wszystkie zadania i projekty to naprawdę nie byłoby to problemem po edukacji w polskiej szkole. Wszystkie lekcje opierały się na pracy grupowej, projektach. Tylko jeden tydzień mają wypełniony egzaminami, są cztery w ciągu semestru czyli osiem w ciągu całego roku z każdego przedmiotu. My mamy trzynaście przedmiotów, oni mają siedem. Podczas tygodnia egzaminów przyszedłam do szkoły, usiadłam w ławce i spojrzałam na arkusz wypełniony pytaniami rodzaju abcd, tylko z matematyki i fizyki musiałam wykonać jakieś obliczenia, ale to też nie były trudne zadania – nawet nie uczyłam się w domu, a czasami dostawałam lepsze oceny z matematyki, fizyki czy z hiszpańskiego niż Meksykanie. To pokazuje, że ich testy sprawdzają inteligencję, a nie twoją wiedzę.

Jak kształtowały się twoje relacje z rówieśnikami? Czy byli zainteresowani kulturą polską?

Ewidentnie byli zainteresowani językiem polskim – gdy tylko rozmawiałam na face time z moją rodziną z Polski czy z przyjaciółmi, wszyscy stali wokół mnie i słuchali, jak mówiłam: „w dziwnym” dla nich języku – polskim. Powiem szczerze, że udało mi się nauczyć moich nowych znajomych kilku podstawowych zwrotów komunikacyjnych w języku polskim, takich jak: „Jak się masz?” czy „Jak masz na imię?”. Podchodzili do mnie

zaczynając interakcję po polsku, z czego byłam bardzo szczęśliwa. Bez wątpienia byli autentycznie zainteresowani naszą kulturą. Pewnego razu jeden chłopak zapytał mnie czy Polska leży w Azji, obok Kazachstanu. Odpowiedziałam mu, że nie, ale jak podpowiedziałam, że obok Niemiec, to już pokojarzył. Zaciekawili ich również fakt, że ściągamy buty przed wejściem do domu, śmiali się ze mnie i czasem przed wejściem na lekcję ściągali swoje buty. Każdy z nich był bardzo otwarty na nowe znajomości i wiadać było ogromną bezinteresowność w ich czynach. Łezka mi się w oku kręci, że są na drugim kontynencie.

Dlaczego warto pojechać na wymianę roczną?

Dla spełnienia własnej ambicji. To jest jedyny taki rok, w którym poznajesz samego siebie. Jedziesz do zupełnie innego, odległego od ciebie miejsca, gdzie uczysz się wszystkiego od nowa. Ja musiałam nauczyć się mówić, znaleźć przyjaciół i zaklimatyzować się w nowej rodzinie. Czujesz się, jak nowo narodzony, ale jak stamtąd wyjeżdżasz, to masz wrażenie, że zostawiłeś serce w innym kraju. Najgorszy dzień mojego życia, to było właśnie opuszczenie Meksyku, całej mojej rodziny, przyjaciół, tego, co sobie ukształtowałam przez ten rok, a ukształtowałam samą siebie. Nie wiedziałam, że jestem tak wrażliwą i uczuciową osobą. Jestem już na tyle dorosła, że potrafię poradzić sobie w sytuacjach krytycznych, które oczywiście miały miejsce w ciągu rocznej wymiany. Moja interakcja z innymi osobami również się zmieniła, no i nauczyłam się jeść (śmiej). Z chęcią utrzymuję kontakt z tamtymi ludźmi i wiem, że osiągnęłam coś dużego – teraz może być tylko lepiej.

VARIA

Jesteśmy tylko cegiełką w murze?

Edyta Fragsztajn

Na podstawie książki Wiesława Weissa: "Pink Floyd. O krowach, świniach, małpach, robakach oraz wszystkich utworach Pink Floyd i Rogera Watersa"

Choć pokolenie dzisiejszej młodzieży utożsamiane jest raczej ze współcześnie powstającą muzyką, która zalewa niemal każdą rozgłośnię radiową i wybrzmiewa z głośników w miejscach publicznych, część z nich z "uporem maniaka" powraca do kawałków kochanych przez ich rodziców lub dziadków. Przedstawicielem muzyki obecnej na rynku przez kilka dekad jest brytyjski zespół Pink Floyd, którego albumy nadal cieszą się powodzeniem, a teksty piosenek jawią się niepokojąco aktualne. W czym tkwi jego fenomen i w jaki sposób nadal inspiruje tak bardzo odmienne od początków swojej działalności społeczeństwo?

Pierwsze utwory grupy powstały w okresie szczytu popularności innych grup muzycznych - The Beatles i Beach Boys, co wpłynęło na brzmienie i styl początkowych albumów Pink Floyd. Zespół powstał w 1964, jednak przechodził wiele zmian nazw i członków, zanim uformował się jego ostateczny skład. W 1965 powstała nazwa, którą znamy do dziś (zaczepnięta od pseudonimów dwóch popularnych muzyków bluesowych tamtego okresu) oraz utrwalił się kształt grupy w składzie: Syd Barret (śpiew, gitara), Roger Waters (gitara basowa, śpiew), Nick Mason (perkusja) i Richard Wright (keyboard, śpiew). Debiutowali w londyńskich klubach takich jak UFO czy Marquee,

czym podbili serca miłośników ówczesnej kultury Underground. Ich pierwszy album "The Piper at the Gates of Dawn" wydany w 1967 zdobył niesamowite uznanie fanów, co zapewniło zespołowi trasę po Stanach Zjednoczonych. W tamtym okresie jednak zaczęły nasilać się objawy choroby psychicznej Syda Barreta, którą w późniejszym okresie sklasyfikowano jako schizofrenię. Jego stan, pogłębiany przez ogromne ilości zażywanego LSD, uniemożliwił mu koncertowanie wraz z grupą. Widząc to, reszta zdecydowała się na wykluczenie go z zespołu i zastąpienie przez Davida Gilmoura. W latach 70-tych nastąpiła kulminacja popularności zespołu dzięki albumom takim jak: "The Dark Side of the Moon"(1973), "Wish You Were Here" (1975), "Animals"(1977) czy "The Wall"(1979). Jednakże, w 1985 w wyniku eskalacji konfliktów między muzykami, grupę opuścił Roger Waters. To nie ostudziło jednak zapалу pozostałych członków, którzy kontynuowali działalność w latach 90-tych i na początku XXI wieku. Ostatni album o nazwie "The Endless River" ukazał się w 2014 roku, a każdy z muzyków (poza Rickiem Wrightem zmarłym w 2008 roku) do dziś wykonuje samodzielnie na scenie dawne przeboje zespołu.

Co takiego niezwykłego jest w muzyce jedne-

go z setek zespołów tamtych czasów? Moim zdaniem, jednym z unikatowych atutów jest rewelacyjne wkomponowanie w warstwę muzyczną odgłosów życia codziennego. Przykładowo, na potrzeby "The Dark Side of the Moon" Roger Waters nagrał odpowiedzi ankietowanych, których pytał o to, co sądzą o nazwie płyty i jej tematyce. I tak, w ostatniej minucie trwania albumu słyszymy wyjęte z kontekstu słowa Jerry'ego Driscola, ówczesnego portiera w studio Abbey Road, w którym nagrywany był album: "There is no dark side of the moon really. Matter of fact it's all dark." ("Tak naprawdę nie ma żadnej ciemnej strony Księżyca. W rzeczywistości panuje ciemność."). Poza tym, w owym albumie znalazło się miejsce dla symfonii odgłosów zegarów w utworze "Time", a utwór "Money" rozpoczyna się od dźwięku dzwonka kasy sklepowej, wymieszanej z brzękiem spadających na podłogę monet. W albumie "The Wall" kilkakrotnie pojawia się szum samolotu lub odgłosy eksplozji, nawiązujące do czasów drugiej wojny światowej, podczas której zginął ojciec Rogera Watersa, co pozostawiło ogromny ślad na jego psychice, bardzo widoczny w "The Thin Ice" czy "Mother". Innym przykładem na poparcie mojej tezy jest to, że członkowie zespołu planowali nawet wydanie albumu o nazwie "Household Objects" (przedmioty użytku domowego), jednak nie został on nigdy udostępniony publiczności.

Zespół cechuje się także ogromną różnorodnością jeśli chodzi o warstwę muzyczną. W wielu utworach można znaleźć zarówno ballady jak i ostre, rockowe brzmienia. Nietuzinkowe są także długości utworów - otwierające "The Dark Side of the Moon", "Speak

to me" trwa nieco więcej niż minutę, natomiast wszystkie części utworu "Shine on You Crazy Diamond" zawierają się w ponad 25 minutach! Grupa niejednokrotnie eksperymentowała w studio, chcąc uzyskać efekt oddający w pełni głębię utworu. Wielokrotnie każdy z muzyków nagrywał swoją partię osobno, dopiero później w wyniku montażu narodziły się wersje, które znamy do dziś. Ponadto grupie wielokrotnie towarzyszyła orkiestra dęta lub symfoniczna (np. "Atom Heart Mother") oraz chóry żeńskie, których funkcją było dodanie dziełu głębi wyrazu. Na szczególną uwagę zasługują również partie gitarowe Davida Gilmoura w utworach takich jak: "Comfortably Numb" czy "Money", które przeszły do historii muzyki jako jedne z najlepszych i tym samym najtrudniejszych do odtworzenia.

Moim zdaniem równie znaczący jak dźwięk, jest tekst. W przypadku Pink Floyd wiele słów piosenek dorównuje poziomem muzyce, niosąc ważne i uniwersalne przesłanie. Duży wpływ miało na to wykluczenie z zespołu Syda Barreta, co odcisnęło swe piętno na reszcie członków, zwłaszcza na Rogerze Watersie, który czuł się za to odpowiedzialny. To właśnie z poczucia niezrozumienia dla choroby psychicznej członka zespołu zrodziły się utwory: "If", "Wish You Were Here" i wspomniane wcześniej "Shine on You Crazy Diamond". Również za pomocą piosenek grupa manifestowała swoje poglądy antywojenne, co widoczne jest zwłaszcza w albumie "The Wall". Singiel promujący tę płytę "Another Brick in the Wall part 2" stał się swego rodzaju hymnem i był wykonywany podczas różnych manifestacji, np. w RPA w 1980 w celu wycofania się

rządu z polityki apartheidu.

Nie sposób też nie wspomnieć o głębi stosowanych przez grupę porównań ludzi do zwierząt. Osiągają swoje apogeum w albumie "Animals". W utworach "Dogs" - "Pigs (Three Different Ones)" i "Sheep" przedstawiono karykatury trzech typów ludzkich. Psy to ludzie - karierowicze, którzy w imię osiągnięcia sukcesu są w stanie zrobić wszystko. Świnie - przywódcy polityczni, którzy uzurpują sobie prawo do osądzania innych i decydowania za nich. Inspiracją do tego utworu była postać Mary Whitehouse. Była ona przewodniczącą Narodowego Stowarzyszenia Widzów i Słuchaczy i z racji pełnionej funkcji głośno krytykowała zespół, dopatrując się w nim hipisowskich i niemoralnych wartości. Owce zaś to ludzie bojaźliwi i gorliwie wypełniający polecenia innych, choć gdy czara się przelewa, mogą dać upust swojej goryczy, mszcząc się na Psach i Świniach. Ponadto, utwory Pink FLOYD charakteryzują

się często kłamrą kompozycyjną, spajającą wszystkie części płyty, co najlepiej obrazuje "The Wall", bowiem, ostatnią piosenkę zwińczają słowa: "Isn't it where...", natomiast album otwiera zdanie: "...We came in?", co w rezultacie daje całe zdanie brzmiące: "Czy to nie tędy weszliśmy?", co jest istną metaforą tego, że proces budowania muru, opisany na łamach płyty, cały czas trwa...

Myślę, że opisana wyżej charakterystyka zespołu zachęci do zapoznania się z jego muzyką zarówno osoby, które spotkały się już z jego twórczością, jak i te, dla których będzie to dopiero początek muzycznej przygody. Mniemam, że obie te grupy skłonią się ku głębszym rozmyśleniom na temat owych utworów i znajdą w nich wartości pomagające w dogłębnym przeżywaniu własnej codzienności...

Znikający morderca – zagadka kryminalna

Kacper Łukowicz

Wszystko zaczęło się od przedziwnego telefonu, który dyspozytor odebrał w zeszłą niedzielę o 13:56. W słuchawce usłyszał kobietę, której słowa należy w tym momencie przytoczyć.

"Dzień dobry. Chciałabym zgłosić morderstwo. Nie, nie wiem, kto zamordował, ale mam swoje przypuszczenia. Co to znaczy, że pana nie interesują? Adres? Olchowa 15/4. Skąd wiem? To przecież oczywiste! Sama widziałam! Bo widzi pan... Stał mężczyzna. Na zewnątrz. W brązowym prochowcu i kapeluszu! Stał tam i celował swoim pistoletem prosto w moje okno i... I... O matko! Jestem spokojna! Tylko... Tylko nie uwierzy mi pan przecież, jak panu powiem, że strzelił do niego przez okno... Nie! Nie przyznaję się do morderstwa! Niech ktoś tutaj po prostu przyjedzie, zabierze ciało i dorwie tego gnoja, który zastrzelił mi męża!"

Oczywiście cała ta sprawa brzmiała... bardzo zagadkowo. Mimo to, gdy stanąłem pod kamienicą na Olchowej postanowiłem podejść do niej z otwartą głową.

Denatem był policjant, który akurat spędzał niedzielę na przeraźliwie głośnym, świdrującym ściany słuchaniu "Kultu". Całe szczęście jego imię jest zupełnie nieistotne, bo kompletnie go nie pamiętam. Istotne jest natomiast kilka informacji dotyczących jego życia prywatnego.

Policjant mieszkał na parterze kilkupiętrowej

kamienicy. Miał kraty na oknach, żeby nikt się nie włamał i tak dalej. Mieszkał z kilkunastoletnim, trochę przygłupim synem i żoną, której to imienia również kompletnie nie zapamiętałem. Być może miała na imię Marianna.

Przed udaniem się do mieszkania podłe zastrzelonego (rzekomo przez swojego arcywroga, którego to zamknął kilkanaście lat temu, gdy to Manfreda była w ciąży z ich synkiem Jasiem) gliniarza.

Gdy dojechałem na miejsce zbrodni, zauważyłem, oczywiście wybite (prawdopodobnie od wspomnianej przez żonę denata kuli) okno. Postanowiłem wyobrazić sobie zachowanie mordercy, o którym Manuela wspominała. Stanąłem kilka kroków od wybitego okna, (pięć, może dziesięć) i wyciągnąłem swój (oczywiście, że zabezpieczony) pistolet. Na moim celowniku widniała zaopatrzona w długie blond włosy głowa Martyny.

Wiedziony wspomnieniami zajęć z balistyki u pani Robinson, zacząłem wyobrażać sobie przebieg morderstwa. Morderca celował prosto w głowę gliniarza, nacisnął spust, kula wyleciała z pistoletu, przeleciała przez szybę, (cudem omijając kraty i w konsekwencji dokumentnie rozbijając ją w jedyny możliwy sposób, o którym zaraz wspomnę) i wreszcie utkwiała w policjancie.

Oczywiście tak tylko to sobie wyobrażałem. W całym procesie myślowym, najistotniejszy

był fakt, że całe szkło z wybitego okna, powinno znajdować się w domu.

Nagle w momencie, w którym przeprowadzałem swój skomplikowany eksperyment myślowy, Marlena, w którą cały czas celowałem, obróciła się, wrzasnęła i zniknęła pod oknem.

Nie byłem zbyt zdziwiony. W końcu być może taka sytuacja spotkała ją dzisiaj już drugi raz.

Przed udaniem się do Marzeny postanowiłem przepytąć sąsiadów. W końcu być może ktoś widział tego Humphreya Bogarta w prochowcu.

Ku mojemu niezmiernemu zaskoczeniu, żaden z sąsiadów nie zauważył żadnej podejrzanej wyglądającej osoby, która mogłaby kręcić się gdzieś w okolicy. Niestety nie usłyszeli nawet dźwięku wystrzału, gdyż jedynym dźwiękiem, który można było usłyszeć tego dnia w kamienicy przy Olchowej 15 był głos Kazika Staszewskiego, który raz to szedł prosto, a innym razem był niegrzeczny, bo przecież w domu nie było dzieci.

Wiedziony jakimś szalonym przeczuciem postanowiłem spytać jednego z sąsiadów, (na oko pięćdziesięcioletniego gościa, który na pewno w młodości trafił do wojska) o to czy glina mógł mieć jakichś wrogów.

"Poszedłem z nim kilka razy na piwo. W zasadzie nie tylko z nim, bo poszliśmy tam też z naszymi małżonkami. W zasadzie to one poszły na piwo, a nas wzięły tylko tak dla towarzystwa. Bo widzi pan, one się z kościółką znały. Co niedziela o 11:30 wychodziły na mszę na 12:00, a potem razem sobie wracały koło 13:30. No to raz sobie wieczorkiem poszliśmy na piwko i mówię panu... Jak Zygmunt się odpalił! Zaczął mówić o takiej jednej swojej dawnej sprawie.

Gosia go zamknąć próbowała, ale nie potrafiła, bo tak się napalił, żeby nam o tym opowiedzieć. Wie pan, ja byłem wojskowy jestem, to mnie też jarają takie historyjki, no to słuchałem.

W każdym razie mówił o tym jednym... John Doe się chyba nazywał, wie pan? Tak mi mówił, że tak się nazywał ten jeden wróg jego właśnie. Podobno kasował jakichś wysoko postawionych urzędasów w ich domach. No i Zygmunt go dorwał... A teraz podobno wyszedł na warunków... Tak mi przynajmniej mówiła Gosia... Żebyśmy na dzieci uważali... Pan myśli, że to mógł być John?"

Nie odpowiedziałem mu. Nie mogłem odpowiedzieć, dopóki nie przesłuchałem Małgorzaty, która to ostatnio przecież przerażona wskoczyła pod stół.

Udałem się więc do mieszkania przy Olchowej 15/4.

Drzwi otworzyła mi ta sama długowłosa blondyna, do której kilkanaście minut temu celowałem. Teraz ona celowała we mnie. Trzymała w swoich dłoniach policyjny pistolet i mierzyła prosto między moje oczy.

"To ty jesteś, prawda? Jesteś John Doe, tak? Wiedziałaś, wiedziałaś, że to byłeś ty! Przyszedłeś po Zygmunta, prawda? Zygmunt już nie żyje, wiesz?"

To było dziwne. Bardzo dziwne. Mimo to, nie przeraziłem się, tylko wyciągnąłem swój dokument i przedstawiłem się Maryli. Powiedziałem, że jestem detektywem, który przypisany został do sprawy zabójstwa jej męża. Wtedy wybuchła płaczem. Zaczęła przepraszać i schowała pistolet. Już chciała ze mną rozmawiać, mimo to, postanowiłem najpierw udać się do pokoju syna Zbigniewa i Mandeli.

Chłopak płakał i wył do poduszki. Był

ewidentnie załamany. Gdybym miał, dałbym mu cukierka na pocieszenie. Niestety nic w tym stylu nie miałem, więc po prostu usiadłem na jego łóżku.

"Romek mam na imię. Nic nie wiem. Ojciec słuchał muzyki przez cały dzień, w ogóle ze mną nie gadał. Nie. Nic nie wiem. Matka poszła do kościoła, a ja się uczyłem w pokoju. Nic nie wiem, nikogo nie widziałem. Potem matka wróciła i wrzasnęła, bo znalazła ojca w kuchni z przestreloną głową. Słucham? No... Tak. Kiedyś uczył mnie, jak strzelać z jego pistoletu, ale co to ma do rzeczy? Prawie w ogóle... nigdy z nim nawet nie gadałem! Mamooo! Niech ten pan już przestanie!"

Wtedy do pokoju wbiegła przerażona Marcela. Krzyknęła na mnie. Pytała, czemu się w to wpieprzam, czemu interesuje mnie zeznanie siedemnastolatka, który nawet nie potrafi trzymać broni i przede wszystkim, dlaczego nie chcę wysłuchać JEJ zdania, które to ma przecież największe znaczenie.

Zanim jednak miałem wysłuchać najważniejszego zdania Moreli, postanowiłem przeszukać całe mieszkanie. Oczywiście zacząłem od kuchni, w której doszło do morderstwa.

To tam ujrzałem obraz wyrwania z raj. Pomidora, który skrojony został jedynie do połowy, gdyż osoba, która chciała go zjeść, prawdopodobnie dostała kulę między oczy. Wskazywało na to całkowicie wybite okno, pod którym znajdował się blat, na którym widniała plama rozlanej krwi. Jeśli chodzi o szczegóły – szkło znajdowało się po zewnętrznej stronie, (między oknem a kratą, przez którą kula niby-cudem przeleciała). Co ciekawe z raportu wynikało zaś, że kula ta wleciała do głowy denata potylicą,

a opuściła ją właśnie między oczami, co może stać w kontradykcji z pewnymi faktami.

Wreszcie przyszedł czas na nią. Czas na zeznanie Madery, które to miało przesądzić o wszystkim.

"Panie detektywie, pan to powinien wiedzieć, jak to jest. Pan na pewno też miał kiedyś takiego arcywroga. Złoczyńcę, który był pana lustrzanym odbiciem... Takiego, który nie potrafił odpuścić, bo za wszelką cenę chciał pana pokonać i upokorzyć. Jak to pan nie miał? No nieważne. Zygmus miał. Nie zamykał się na jego temat, wie pan? Nazywał się John Doe. Ale cichutko, żeby Romunio nie usłyszał. On się go bardzo boi. Romek jest bardzo wrażliwy, wie pan? Zawsze się bardzo, bardzo, bardzo z tatą dogadywał. Ja nie wiem, jak on sobie z tym poradzi teraz... Martwię się o niego bardzo, wie pan? Romus zawsze był takim naszym niewinnym słoneczkiem... Ale o tym pan nie chce słuchać. Oczywiście, już panu mówię, co się stało. My... siedzieliśmy tak w tej kuchni, Zygmus kroił pomidora, no i nagle na zewnątrz pojawił się ten mężczyzna... John Doe. To na pewno był on! Przyszedł, wycelował i strzelił do mojego męża... Ja... Od razu zadzwoniłam na 112! Byłam... przerażona byłam. Bałam się, ja nigdy przecież strzału nie słyszałam. Ten dźwięk był taki... taki... głuchy? Głuchy, ale i przesywający".

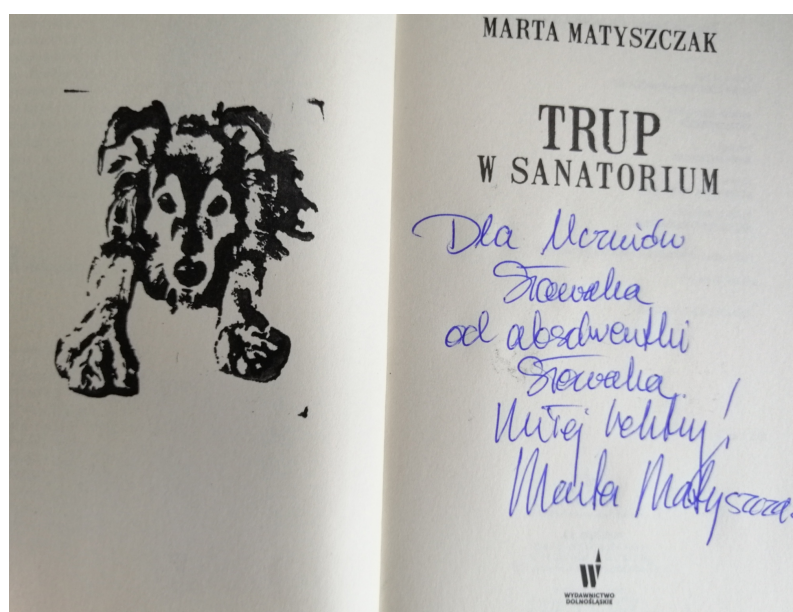
Prawdę powiedziawszy, jej zeznanie faktycznie przesądziło o wszystkim. Ktoś nie znał się na amerykańskim kinie i tamtejszej kryminalistyce, ktoś cholernie dobrze udawał, a już na pewno ktoś bezmyślnie kłamał. Dzięki jej zeznaniu miałem już pewność, co wydarzyło się w mieszkaniu przy ulicy Olchowej 15.

Kto zabił policjanta?

- A. Jego kochana żona.
- B. Sąsiad wojskowy.
- C. Jego niewinny synek.
- D. John Doe.

Na osobę, która opíše, co tak naprawdę wydarzyło się w mieszkaniu przy Olchowej 15, czeka atrakcyjna nagroda, którą jest kryminał pt. "Trup w sanatorium"¹ autorstwa absolwentki Słowaka, Marty Matyszcza.

¹ Wydawnictwo Dolnośląskie



Grenada w pigułce

**„Daj mu jałmużnę, kobieto, bo nie ma
na świecie gorszego cierpienia niż
bycie ślepcem w Grenadzie.”
~ Francisco de Icaza**

Grenada, miasto położone w południowej Hiszpanii, które zdecydowanie wyróżnia się pośród wszystkich innych miejsc w Europie. Jest to bowiem świat, w którym łączą się ze sobą dwie kultury: arabska i hiszpańska. Świat, który czaruje na każdym kroku...

Grenadę wypełnia niesamowita mozaika zarówno kulturowa jak i architektoniczna. Mauretańska przeszłość, ogniste flamenco i hiszpańska kuchnia, to tylko niektóre ze wspaniałości jakich możemy tam doświadczyć.

Sama muszę przyznać, że mnogość zabytków i urokliwych miejsc sprawiła, że krążyłam po mieście przez cztery godziny i do dzisiaj nie wiem jak to możliwe, że zleciały one tak szybko.

Główna atrakcja Grenady to Alhambra, czyli olbrzymi, arabski kompleks pałacowy wybu-



dowany w XIII w. Każdy detal wykonany jest z niezwykłą pieczołowitością, a ogrom całego miejsca zapiera dech w piersiach.

Oczywiście pod względem stosunku do jedzenia Grenada nie różni się niczym od innych hiszpańskich miast. Na każdym kroku czekają restauracje i bary tapas. Ja osobiście polecam paellę z krewetkami w towarzystwie *tinto de verano*. Idealne na zakończenie magicznego dnia w jeszcze bardziej magicznej Grenadzie!

Mam nadzieję, że pewnego dnia będzie mi dane tam wrócić. Grenada znalazła specjalne miejsce w moim sercu i nie wyobrażam sobie już nigdy więcej jej nie zobaczyć. Kto był, zrozumie.

Karolina Kisiel

